

KAZIMIERZ PRZYBYŁKO

Z LIPNICY W UNIWERSYTECKIE PROGI
MOJE WSPOMNIENIA I REFLEKSJE Z OKRESU STUDIÓW (1951-1956)
W KATOLICKIM UNIWERSYTECIE LUBELSKIM

WSTĘP

Redakcja „Summarius” zachęciła mnie do napisania wspomnień z moich czasów studenckich (1951-1956) ze względu, jak sędzę, na mój „określony” PESEL, zaczynający się od 30... Tekst niniejszy dotyczy Uniwersytetu tamtych czasów, jego struktur organizacyjnych i sytuacji materialnej, statusu studenta i ogólnie warunków studiowania, w tym również tych materialnych. Opisując środowisko uniwersyteckie, jego atmosferę i warunki materialne studenta tamtego okresu, dotknę także wątków całkiem osobistych, historii swojego życia oraz drogi do podjęcia nauki w KUL. Jeśli proporcje między tymi dwiema sferami będą jakoś źle wyważone, z góry przepraszam Czytelnika. Sędzę jednak, że każda z nich jest ważna, gdyż tych dwóch wątków, uniwersytetu i jego studenta, w tym też jego drogi życia i dojścia do studiów, nie da się oddzielić.



Wspomnienia z czasu studiów w KUL w latach pięćdziesiątych XX wieku diametralnie różnią się od studenckich komemoracji z czasów późniejszych, bliższych nam, głównie ze względu na zmiany w strukturze Uczelni, w atmosferze i warunkach studiowania, w tym także tych bytowych, zależnych w dużej mierze od zasobności studenckiego portfela. Warto podkreślić, że mimo ograniczeń materialnych i ideologicznych w tamtych czasach wśród studentów panowała radość i niebywała motywacja do nauki.

KAZIMIERZ PRZYBYŁKO – emerytowany psycholog kliniczny Poradni Leczenia Bólu przy II Klinice Anestezjologii i Intensywnej Terapii Uniwersytetu Medycznego w Lublinie (kierownik prof. dr hab. med. Krzysztof Przesmycki); członek współpracownik Wydziału Nauk Społecznych TN KUL.

Przekrój społeczny i pewien folklor zachowań studentów były bardzo zróżnicowane, gdyż pochodzili oni wówczas dosłownie z całej Polski, ze wszystkich jej regionów. Owe różnice zachowań wynikały po części ze statusu społecznego. Obok studentów z prostych rodzin robotniczych, chłopskich czy inteligentkich byli wśród nas i ci, którzy pochodzili z rodów herbowych, hrabiowskich (Grocholscy, Rostworowscy, Zamoyscy, Czartoryscy). Mimo tych różnic rodowo-klasowych oraz zachowań nacechowanych regionalnie i środowiskowo wspólną cechą ówczesnych studentów był, jak już napisałem, ogromny pęd do nauki i zdobywania wiedzy.

W tym czasie trudno było znaleźć miejsce do nauki w zakładzie naukowym właściwym dla kierunku studiów. W Zakładzie Filozofii zawsze był obecny jakiś student wyższego kursu, jak skupiony nad lekturą Władysław Stróżewski (obecnie profesor UJ) czy Krzysztof Kozłowski, późniejszy redaktor „Tygodnika Powszechnego” w Krakowie, a następnie Minister Spraw Wewnętrznych. W tym czasie, ze względu na duży napływ młodzieży na studia, wszystkie zakłady naukowe były oblegane i przepełnione. Dotyczyło to przede wszystkim filozofii, psychologii, pedagogiki, polonistyki, historii i neofilologii. W miarę przytulne miejsce do nauki najłatwiej można było znaleźć w zakładzie teologii, prawa kanonicznego i prawa cywilnego (na drugim piętrze), gdyż niektóre z tych kierunków były wtedy w fazie likwidacji przez Ministerstwo Oświaty – Wydział Prawa i Nauk Społeczno-Ekonomicznych został zlikwidowany na mocy pisma Ministra Oświaty z 13 lipca 1949 r.¹

¹ Właśnie 13 lipca 1949 r. Ministerstwo Oświaty skierowało do „Obywatela Rektora” Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego w Lublinie pismo (Nr GM. 72/49) następującej treści:

„Na podstawie art. 106 lit C dekretu z dnia 22.10.1947 r. o organizacji nauki i szkolnictwa wyższego (Dz.U.RP. Nr 66 poz. 415) za zgodą Rady Głównej do Spraw Nauki i Szkolnictwa Wyższego zarządzam:

1. Likwidację z dniem 1.10.1949 r. Studium Zagadnień Społecznych i Gospodarczych Wsi przy KUL-u.

2. Stopniową likwidację Sekcji Prawnej Wydziału Prawa i Nauk Społeczno-Ekonomicznych KUL-u z tym, że w roku akademickim 1949/50 nie będzie uruchomiony I rok studiów, w latach zaś następnych zwijane będą kolejno dalsze lata studiów na Sekcji Prawnej.

3. Likwidację Sekcji Ekonomicznej Wydziału Prawa i Nauk Społeczno-Ekonomicznych z tym, że studenci, którzy ukończyli w roku akad. 1948/49 I lub II rok studiów na tej Sekcji – mogą kontynuować studia na Sekcji Prawnej pod warunkiem złożenia uzupełniających egzaminów, które będą określone w odrębnym zarządzeniu studenci zaś, którzy ukończyli w roku akad. 1948/49 III rok studiów – dokończą studia w roku akad. 1949/50 według dotychczasowego programu.

Minister w/z E. Krassowska”

Brać studencka, jak już powiedziano – dość liczna w tym czasie, mieszkała w różnych częściach miasta, często w bardzo trudnych warunkach (o tym szerzej w innym miejscu). Trzeba tu podkreślić, że młodzież studencka w większości przebywała wówczas w głównym gmachu uniwersyteckim w zasadzie przez cały dzień, a to zarówno z racji wykładów, które wszystkie się tu odbywały, jak też odrabiania tak zwanego stypendium stołówkowego, co odbywało się poprzez dyżury w zakładach naukowych. Wszystkie te instytucje mieściły się w czworobocznym starym, poklasztornym gmachu uniwersyteckim. Stołówka akademicka, usytuowana parterze w środkowej części gmachu, była ważnym miejscem integrującym studentów różnych kierunków. Tam spotykało się uczelniane gremium w całym swoim przekroju społecznym, aby zaspokoić głód i przy okazji potrzeby towarzyskie. Tu również niektórzy studenci pracowali jako kelnerzy, odrabiając stypendia (spośród moich kolegów Jan Galecki i Władysław Łojko).

W tym okresie KUL zyskał rangę uniwersytetu ogólnopolskiego, gdyż studiowali w nim, jak wspomniano, młodzi ludzie ze wszystkich regionów Polski – od Bałtyku po Tatry i od Odry po Bug. Gwar w korytarzach był spory, gdyż chętnych do studiowania było doprawdy wielu, szczególnie na Wydziale Filozofii, na Historii czy na Polonistyce, gdzie poszczególne roczniki liczyły ponad 300 osób. Tak więc na korytarzach uniwersyteckich było gwaro i ciasno. Mimo to, a może dzięki temu wszyscy studenci znali się, i to nie tylko w obrębie swojego roku, ale też innych kierunków studiów. Wszyscy byli sobie bliscy i nawzajem życzliwi, choć w większości zwracali się do siebie per pan czy pani. Taki wtedy wśród KUL-owskich studentów panował zwyczaj. W przeciwieństwie do studentów innych uczelni, gdzie mówiono do siebie per kolego czy koleżanko.

Trzeba tu powiedzieć, że ówcześni studenci uczestniczyli gremialnie w wykładach, ćwiczeniach przedmiotowych i seminariach naukowych, na których zadaniem studentów było przyswajanie metod naukowych i przygotowywanie zgodnie z nimi opracowań przedmiotowych zagadnień na tematy zlecone przez prowadzących zajęcia. Młodzież studencka działała również w kołach naukowych, zwłaszcza filozofów, psychologów, pedagogów i innych, w których

Od tego zarządzenia Ks. Rektor A. Słomkowski odwołał się, gdyż Ministerstwo Oświaty nie podało uzasadnienia tej decyzji. W odpowiedzi na to pismo Rektora „Ministerstwo Oświaty komunikuje, że nie zmienia swojej decyzji odnośnie likwidacji Wydziału Prawa i Nauk Ekonomicznych Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Zarządzenie Min. Oświaty z dnia 23.06. br. podlega wykonaniu.

Minister w/z prof. dr. H. Jabłoński”

ramach można było znacznie poszerzyć swoją wiedzę także dzięki wykładom wygłaszanym przez zapraszanych prelegentów z innych uczelni czy wybitnych praktyków. Równie aktywnie młodzież uniwersytecka uczestniczyła też w zajęciach Teatru Akademickiego, który wystawiał interesujące sztuki, oraz śpiewała w Chórze Akademickim KUL, który współpracował z Filharmonią Lubelską. Kierownikiem artystycznym i dyrygentem był wówczas Olgierd Straszyński. Młodzież akademicka, co należy podkreślić, wykazywała też znaczną aktywność – mimo ubóstwa – w różnych sferach życia społecznego i kulturalnego.

ZARYS BIOGRAFII I DROGA ŻYCIOWA AUTORA

Po tych wstępnych uwagach na temat uniwersytetu i jego młodzieży w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku wypada przybliżyć sylwetkę i drogę życiową autora niniejszego tekstu, który – parafrazując tytuł wspomnianej książki profesora Stanisława Pigonia *Z Komborni w świat* – przyszedł z Lipnicy Murowanej w uniwersyteckie progi lubelskiej Wszechnicy. A droga ta w tamtych czasach wcale nie była łatwa i wymagała wielu poświęceń i wyrzeczeń. Małopolska Lipnica Murowana, miejsce mojego pochodzenia, została założona jako miasto i lokowana przez króla Władysława Łokietka w 1326 r. na prawie średzkim, a później na prawie magdeburskim dzięki przywilejom nadanym jej w 1379 r. przez Elżbietę Łokietkównę. Prawa miejskie utraciła jednak w 1934 r. Dziś znów mogłaby na powrót uzyskać status miasta, ale władze gminy nie wykazują w tym względzie należytego zainteresowania. Obecnie Lipnica Murowana jest gminą wiejską w powiecie bocheńskim nad rzeką Uszwicą (prawy dopływ Wisły).

W rodzimej Lipnicy Murowanej ukończyłem siedmioklasową szkołę powszechną im. Kazimierza Brodzińskiego², otrzymując świadectwo jej ukończenia w dwóch językach: niemieckim (SCHULZEUGNIS) i polskim (ŚWIADECTWO SZKOLNE). Świadectwo to dawało mi szansę dalszej nauki w gimnazjum na przykład w pobliskiej Bochni. Ze względów ekonomicznych, czyli

² Kazimierz Brodziński (ur. 8 marca 1791 r. w Królówce koło Bochni, zm. 10 października 1835 r. w Dreźnie) – poeta epoki sentymentalizmu, historyk, teoretyk i krytyk literacki, tłumacz, publicysta i myśliciel chrześcijański, powszechnie uważany za najwybitniejszego twórcę preromantyzmu w Polsce, profesor UW. Naukę szkolną rozpoczął właśnie w szkółce trywialnej w Lipnicy Murowanej, gdzie jego ojciec, Jacek, był dzierżawcą dóbr hrabiego Moszyńskiego. Naukę kontynuował w Tarnowie, a potem w Krakowie na UJ.

po prostu biedy, wyraźnej biedy, nie było to jednak możliwe. Sytuacja materialna tuż po wojnie nie pozwalała na ten luksus, gdyż wynajęcie stacji w mieście oraz inne powinności związane z nauką przekraczały możliwości rodziny. Przez następny rok pomagałem, wraz ze starszą siostrą Janiną, mamie w małym gospodarstwie, gdyż ojciec nie wrócił z wojny, pozostając na emigracji we Francji. Rok później w maju przyjechał do Lipnicy nasz rodak, ks. mgr Stanisław Grzybek, prokurator w Częstochowskim Seminarium Duchownym w Krakowie (przy ulicy Bernardyńskiej 3). Był on naszym dalekim powinowatym i zabrał mnie do pracy w Seminarium jako pomoc (tzw. przynieś, wynieś, pozamiataj). Po dwóch miesiącach „awansowałem” na pomocnika szofera, a następnie zezwolono mi na podjęcie nauki w Szkole Technicznej w Krakowie, co było dla mnie wielkim wyróżnieniem. Jako uczeń czułem taką potrzebę zdobywania wiedzy i chęć do nauki – wykazując postęp w tym zakresie, że po trzech miesiącach nauki, czyli w pierwszym trymestrze w pierwszej klasie, nasz wychowawca klasy, profesor Sawicki (imienia już dziś nie pomnę), polonista, zaproponował mi przejście do klasy drugiej z obowiązkiem uzupełnienia materiału nauczania. W drugiej klasie przyjęto mnie życzliwie. Wychowawcą klasy był inż. Bodnarowski. Tu również solidnie przykładałem się do nauki. Pod koniec roku szkolnego w drugiej klasie uzyskałem wyniki bardzo dobre ze wszystkich przedmiotów i jako jedyny w klasie otrzymałem „dyplom z wyróżnieniem”. Byłem z tego bardzo dumny i zadowolony, podobnie jak i moi przełożeni w Seminarium. Podczas wakacji szkolnych zrewidowałem swoje plany życiowe, dochodząc do wniosku, że większe szanse i perspektywę rozwoju daje jednak szkoła ogólnokształcąca. Dlatego postanowiłem, idąc za radą innych życzliwych mi osób, przenieść się do Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcącego dla Pracujących w Krakowie, stanowiącego część słynnego Liceum im. Bartłomieja Nowodworskiego przy ulicy Grobla 9. Tu już nie byłem, jak to się mówi, orłem, gdyż wiele przedmiotów musiałem uzupełniać, szczególnie języki obce: łacinę, niemiecki, angielski, a także chemię, której w naszej szkole uczyła adiunkt czy docent UJ, wykładając ten przedmiot tak jak dla studentów chemii, co sprawiało nam wiele trudności.

Języka niemieckiego dodatkowo uczyła mnie emerytowana nauczycielka tego przedmiotu (przy ul. Augustiańskiej), natomiast korepetycji z łaciny udzielał mi prof. Ludwik Klepaczewski, znany poliglota, który uczył także kleryków w Seminarium. W łacinie pomagali mi również koledzy z Małego Seminarium, którzy chodzili do tej samej klasy. Mimo tych ograniczeń w niektórych przedmiotach na koniec roku przyznano mi jednak nagrodę

w zakresie języka i literatury polskiej. Nagrodę tę, w postaci książki *Placówka* Bolesława Prusa, wręczył mi uroczyście w szacownej auli Gimnazjum im. B. Nowodworskiego dyrektor naszej szkoły³.

Wychowawcą naszej klasy była polonistka, pani profesor Augustynowicz, niegdyś asystentka prof. Stanisława Pigonia, byłego rektora Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie. Po wojnie pracowała w Krakowie, a pochodziła z Drohiczyzna nad Bugiem. Wspominam ją jako osobę ciepłą i empatyczną. Utrzymywałem z nią kontakt telefoniczny przez kilka lat, do spotkania jednak nigdy nie doszło bądź to z powodu jej choroby, bądź też wyjazdu do córki w Budapeszcie. Przez telefon wszakże odbywaliśmy długie i interesujące rozmowy.

W szkole średniej miałem wielu przyjaciół. Jeden z nich – Józef Böldys – został księdzem i był proboszczem w Koziegłowach koło Częstochowy, z drugim zaś kolegą – Henrykiem Marcelą — pracowałem później w Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Krakowie w Wydziale Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej, obaj na stanowisku podreferendarza⁴. Razem też studiowaliśmy potem na KUL-u i przez jakiś czas mieszkaliśmy wspólnie przy ulicy Kochanowskiego u pani A. Dziubińskiej ze Lwowa. Ta przyjaźń trwa do dziś mimo odległości, jaka nas na co dzień dzieli (on mieszka w Alwerni, ja w Lublinie). Nasza koleżanka z klasy – Klara Wośko – wstąpiła do klasztoru w Starej Wsi koło Brzozowa. Odwiedziłem ją kiedyś w domu zakonnym w Jarosławiu.

Tak się złożyło, że miałem szczęście do wspaniałych polonistów. Nową polonistkę, bardzo zasadniczą panią profesor Irenę Lewicką⁵, lwowiankę, o postawie wyraźnie patriotycznej, mimo panującego reżimu socjalistycznego, dostaliśmy w ostatnim roku przed maturą. Trzeba powiedzieć, że to dzięki niej i jej życzliwości zostałem studentem Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. To ona napisała list w mojej sprawie do prof. Stefana Świążawskiego, swojego kolegi ze studiów we Lwowie, a wówczas profesora filozofii w KUL. Po akceptacji Rady Wydziału i rektora uniwersytetu zostałem przyjęty na studia w czasie trwania roku akademickiego. W tym

³ Mówię o tym, ale nie chcę, by to brzmiało jakoś pompatycznie, gdyż jestem przeciętnym i skromnym człowiekiem. To, że ukończyłem studia, zawdzięczam wielu życzliwym ludziom.

⁴ Kierownikiem Oddziału był Kazimierz Olesiński z Bochni, a naczelnikiem Wydziału inż. Aleksander Kirczyński.

⁵ Jak wspominałem, z panią profesor I. Lewicką, jako wdzięczny student, a później absolwent, utrzymywałem serdeczny kontakt przez wiele lat. Spotkałem się z nią w Krakowie, gdzie wręczyłem jej swoje teksty dotyczące rozwoju psychicznego i patologii dzieci i młodzieży opublikowane w książce pod red. prof. dr med. Antoniego Gębali. Profesor Lewicka była osobą wybitną.

czasie obowiązków rektora pełnił ks. prof. Józef Pastuszka, który przyjął mnie bardzo ciepło, a również później darzył mnie życzliwym okiem i swoistą empatią. Dlatego też miałem dużą tremę, zdając pierwszy egzamin u tegoż profesora ze współczesnych kierunków filozoficznych.

STUDENCKIE WSPOMNIENIA

Do Lublina przyjechałem nocnym pociągiem z Krakowa i pierwsze, co mi się rzuciło w oczy, to spore różnice w infrastrukturze miasta w porównaniu z Krakowem. Z dworca kolejowego kursował autobus do Bramy Krakowskiej, a dalej do uniwersytetu szedłem pieszo. Na Placu Litewskim spotkałem studenta w białej czapce i zapytałem go o drogę na Uczelnię. Ten, zachwalając atmosferę Uczelni, bardzo życzliwie wskazał mi kierunek. Studentem tym był, jak się później okazało, Leszek Ireneusz Hofman, z Wydziału Prawa KUL, późniejszy dyrygent Chóru Akademickiego KUL, po studiach zaś ceniony adwokat. Na uniwersytet przyszedłem w godzinach rannych i po załatwieniu pewnych formalności administracyjnych w dziekanacie udałem się na wykłady. Podręczny bagaż, czyli walizkę z dobytkiem w postaci bielizny i innych drobiazków oraz nowych butów, zostawiłem u tak zwanego pedla w pomieszczeniu w bramie Uczelni po prawej stronie od wejścia. W czasie przerwy w wykładach spotkałem na korytarzu kolegę Henryka Marcelę ze szkoły w Krakowie, który zaproponował mi nocleg. Moja walizka pozostała na noc na portierni. Kiedy następnego dnia zgłosiłem się po jej odbiór, okazało się, że została skradziona w dziwnych okolicznościach. Władze uniwersyteckie wszczęły nawet jakieś dochodzenie w sprawie kradzieży, ale bez efektów. I tak zostałem bez podstawowych rzeczy osobistych i bez mieszkania, czyli dachu nad głową. Na szczęście na kwaterę przygarnął mnie znowu Henryk Marcela i owo przygarnięcie trwało kilka miesięcy. Mieszkaliśmy u pani Albiny Dziubińskiej, nauczycielki muzyki, przy ulicy Jana Kochanowskiego. Mnie za mieszkanie służyła zimna kuchnia, z której korzystały trzy rodziny. Za ten przytułek rewanżowałem się noszeniem wody z pompy ulicznej, węgla z piwnicy, rąbaniem drewna i innymi drobnymi usługami. Na Uczelnię jeździliśmy czasem autobusem nr 4, ale częściej chodziliśmy pieszo, co w zimie nie było łatwe, zwłaszcza że lektoraty rozpoczynały się o siódmej rano. Później mieszkalem przy ulicy Ogródkowej w starym, parterowym domu, w którym wilgoć była tak duża, że odłożony na stole zeszyt z notatkami z wykładów pisanymi

atramentem na drugi dzień był trudny do odczytania. Następne moje mieszkanie było czyste i schludne, a znajdowało się w dzielnicy Poczekajka, gdzie mieszkałem z Janem Bardanem (uczniem Feliksa Wojciecha Bednarskiego OP, a potem Karola Wojtyły, u którego się doktoryzowałem) i Franciszkiem Podrazą.

Na drugim roku studiów funkcjonowałem jako student biednie, ale radośnie. Chociaż otrzymywałem stypendium żywnościowe (śniadania i obiady), to jednak na niewiele się to zdało, bo obiady musiałem sprzedawać, żeby podzelać jedyne swoje buty. W tym czasie mojej, że tak napiszę, istnej pauperii któregoś dnia podczas wykładu prof. Jana Dobrzańskiego, wówczas prorektora uczelni (potem przeszedł na UMCS), padło pytanie: „Czy jest tu pan Przybyłko?” Wstałem i odpowiedziałem, że jestem. Profesor mówi do mnie: „Pan zgłosi się do rektoratu”. Na sali zapanowała konsternacja, a u mnie narastał niepokój, o co chodzi, co się stało. Kiedy zgłosiłem się do rektoratu, pan prorektor zapytał mnie, skąd pochodzę, gdzie mieszkam, o warunki materialne i inne dane. Przyznano mi wówczas 500 złotych jako ekwiwalent za skradzione rzeczy, a pan profesor w mojej obecności przez telefon rozmawiał z kierownikiem Domu Akademickiego przy ulicy Wyszyńskiego (dzisiaj Niecała) w sprawie miejsca dla mnie w akademiku. I przyznano mi je. Zostałem zakwaterowany w pokoju, w którym mieszkało razem ze mną 12 osób. Łóżka były piętrowe typu wojskowego, sienniki ze słomą zmienianą dwa razy do roku, a mimo to był to dla mnie luksus, bo ciepło, czysto, kuchenka, umywalnia, prysznic, bliskość uczelni oraz wspaniali koledzy z różnych stron Polski i rozmaitych kierunków studiów.

W takich warunkach, z biegiem czasu coraz lepszych, mieszkałem z bardzo życzliwymi kolegami do końca studiów, czyli do 11 czerwca 1956 roku. Wspomnę tu niektórych spośród nich: Michał Mleczek, Edmund Markowicz, Andrzej Kładoczny, w następnych latach (byli to głównie historycy): Stanisław Lazar – późniejszy długoletni pracownik biblioteki uniwersyteckiej w Paryżu, Henryk Piszczek i Stanisław Litak – późniejszy profesor KUL, a także Henryk Piersa – fizyk, długoletni profesor KUL, wreszcie koledzy Spryszak i Józef Sosiński.

Na ostatnim roku studiów zostałem na krótko przeniesiony do akademika w Krężnicy Jarej, co okazało się dość uciążliwe ze względu na prowadzone wówczas przeze mnie badania psychologiczne dzieci z grupy oligofrenii, przeznaczone do pracy magisterskiej (opiekun prof. Natalia Reutt). Badania te prowadziłem w Lublinie w Zakładzie i Szkole Specjalnej, jak również poza Lublinem w Olbicieniu. Dojazd z Krężnicy Jarej na badania w określo-

nych godzinach był bardzo utrudniony. Dlatego na moją prośbę moi koledzy z poprzedniego akademika przyjęli mnie, przy cichej akceptacji kierownictwa, do dawnego pokoju przy ulicy Wyszyńskiego. Koledzy, że wymienię tu po raz wtóry Stanisława Litaka i Henryka Piersę, byli poza tym tak uczynni i życzliwi dla mnie, że przystali również na to, że swoją pracę magisterską będę pisał w godzinach nocnych, i za to jestem im do dzisiaj serdecznie wdzięczny. Okres ten wspominam jako bardzo twórczy, a jednocześnie radosny, zwłaszcza w związku z aktywnym udzielaniem się w Chórze Akademickim, uczestnictwem w jego wyjazdach szkoleniowych do Fromborka i Krynicy Zdroju, jak też licznych występach w Puławach, Kazimierzu nad Wisłą czy w Filharmonii Lubelskiej, a także w Polskim Radiu – w programie dla zagranicy.

Gdy mowa o trudnościach materialnych, to dotyczyły one wówczas większości studentów, a więc nie byłem jakimś wyjątkiem. Przy okazji chcę jednak wspomnieć, że od czasu do czasu otrzymywałem wsparcie finansowe od księży profesorów z Seminarium w Krakowie, w którym wcześniej pracowałem. Z wdzięcznością wymieniam tu księży: Stanisława Grzybka, Władysława Smerekę, Ludwika Klepaczewskiego, Stanisława Okamfera i Władysława Patykiewicza, którzy wspólnie przysyłali mi wsparcie finansowe, mające dla mnie znaczenie zarówno materialne, ale też uczuciowo-emocjonalne jako wyraz pamięci. Tę pomoc przeznaczałem na opłacenie miejsca w akademiku, drobne opłaty administracyjne i inne wydatki.

Jak już wcześniej wspominałem, w swoim otoczeniu miałem wielu życzliwych kolegów. Jednym z nich był Edmund Nawrocki z Ostrowa Wielkopolskiego, z którym zazwyczaj wspólnie przygotowywaliśmy się do egzaminów. Uczyliśmy się często na cmentarzu z dala od ulicznego zgiełku. Często dyskutowaliśmy na rozmaite tematy, a to naukowe, a to społeczne, a to te bardziej przyziemne, które żywo nas dotyczyły. Przyjaciel, wiedząc o moich brakach w odzieży, zwłaszcza tej bliższej ciała, szczególnie w dolnej jego części, w zimie dla komfortu nieodzownej, oddał mi część swojej, świeżo otrzymanej i nowiutkiej. Zrobił to zresztą w wyjątkowo dyskretny sposób tak, by nie urazić godności beneficjenta. A mówiono, że Poznaniacy są tacy oszczędni i na wyraz wyrachowani. Byłem Edmundowi ogromnie wdzięczny⁶.

Dziś takie fakty wydają się może dziwne czy śmieszne, tak że nie warto o nich mówić, a tym bardziej pisać, ale stawały się one udziałem niejednego studenta w tym okresie. To pokazuje, że student w tamtych latach oprócz

⁶ Po ukończeniu studiów pracował jako wykładowca w Studium Nauczycielskim w Świdnicy. Pisywaliśmy do siebie, ostatnio jednak nie odpowiada na listy.

troski o zdobywanie wiedzy na uczelni musiał się borykać również z wieloma trudnościami natury materialnej, by w ogóle jakoś funkcjonować. Część młodzieży podejmowała więc w miarę możliwości różne prace zarobkowe, nawet w godzinach nocnych, na przykład przy rozładunku na stacjach towarowych PKP.

Pod koniec studiów zaprzyjaźniłem się z kolegą Tadeuszem Gałkowskim, który miał dyżury w Zakładzie Psychologii KUL jako stypendysta. Dzięki jego życzliwości mogłem korzystać z nowszej literatury potrzebnej mi do opracowania tematu pracy magisterskiej. Przedyskutowaliśmy też wspólnie wiele tematów, myśli i koncepcji merytorycznych. W tym czasie zajmowaliśmy się obaj problemami patologii mowy. Korzystaliśmy z konsultacji prof. med. Benedykta Dylewskiego, kierownika Kliniki Laryngologicznej AM w Lublinie, oraz doc. dr. Leona Kaczmarka z UMCS. Po studiach Tadeusz Gałkowski zatrudnił się w Wojewódzkiej Poradni Foniatrycznej (jej kierownikiem była dr Wanda Paplińska) w ramach w Wojewódzkiej Przychodni Specjalistycznej (jej dyrektorem był dr Bronisław Włodarski). Tu przepracował rok, a później przeniósł się do Warszawy. Na jego miejsce zatrudniono mnie na stanowisku asystenta i przepracowałem tu ponad 20 lat, zdobywając drugi stopień specjalizacji i stanowisko starszego asystenta. Tadeusz Gałkowski w Warszawie pracował w Klinice Foniatrycznej pod kierunkiem prof. Aleksandry Mitrinowicz-Modrzewskiej, u której zdawałem egzamin z anatomii i fizjologii oraz patologii mowy i głosu, kończąc tam studia podyplomowe. Tadeusz Gałkowski przeszedł wszystkie stopnie kariery naukowej, uzyskując tytuł profesora zwyczajnego psychologii na Uniwersytecie Warszawskim (pracuje do dziś w Uniwersytecie SWPS). Do tej pory utrzymujemy z sobą kontakty koleżeńskie. Drugim tak utytułowanym kolegą jest prof. Jan Strelau, który po drugim roku studiów w KUL przeniósł się do Warszawy, gdzie na UW przeszedł kolejne stopnie kariery, osiągając duży sukces naukowy; został też doktorem honoris causa Uniwersytetu Gdańskiego. Trzecim utytułowanym kolegą był Janusz Kostrzewski, który po kilku latach pracy na KUL-u przeniósł się do Warszawy, gdzie pracował w Wyższej Szkole Pedagogiki Specjalnej; był zatrudniony również na Uniwersytecie Łódzkim. Był to kolega ze studiów i wspólnego mieszkania w Domu Akademickim KUL.

To tyle o kolegach, oczywiście nie wszystkich, tylko tych najbardziej utytułowanych, ale było ich o wiele więcej, a wszystkich zachowuje we wdzięcznej pamięci.

Ukończenie studiów to finał, który kończy się uzyskaniem dyplomu i radością z osiągniętego celu. Mój egzamin magisterski z psychologii po pięciu latach studiów obroniłem 11 czerwca 1956 r. Tematem rozprawy była problematyka psychologiczna u dzieci i młodzieży o obniżonej sprawności umysłowej – oligofrenicznej. Komisja egzaminacyjna powołana przez Radę Wydziału była następująca: przewodniczył prof. dr Zdzisław Papierkowski, prawnik, prorektor KUL, członkami zaś byli prof. Natalia Reutt oraz prof. Józef Reutt, promotor. Egzamin składał się z obrony pracy, a następnie zestawu pytań z psychologii ogólnej oraz psychologii rozwojowej i wychowawczej. Pytanie przewodniczące dotyczyło psychologii przestępstwa. Po egzaminie czułem się w miarę dowartościowany, choć bardzo starałem się tego nie okazywać. Byłem wówczas pierwszym ze swojego rocznika uniwersyteckim magistrem w mojej miejscowości. Później kolega uzyskał tytuł inżyniera na Politechnice Śląskiej w Gliwicach.

REKURS KRAKOWSKI

Wracając na chwilę do wcześniejszych lat, chciałbym przywołać jeszcze czas pracy w Częstochowskim Seminarium Duchownym przy ulicy Bernardyńskiej 3 w Krakowie, gdzie dane mi było pełnić rozmaite funkcje. Byłem tam przede wszystkim portierem, obsługującym między innymi centralę telefoniczną. Miałem swój pokój do pracy i mieszkanie. W godzinach 16-20 chodziłem do liceum razem z klerykami małego seminarium. Mając osiemnaście lat, ukończyłem kurs na prawo jazdy i byłem jednym z młodszych, a może i najmłodszym wówczas kierowcą w Krakowie. Jako młodego kierowcę przełożeni wysłali mnie kiedyś niemieckim samochodem osobowym z demobilu marki opel kadet do Kielc, dokąd miałem zawieźć francuskiego księdza z Paryża i aparaturę kinową do tamtejszego seminarium duchownego. Jadąc do Kielc, modliliśmy się z księdzem o szczęśliwą drogę. Ówczesne drogi w większości nie były jeszcze wyasfaltowane, poza tym często naszpikowane gwoźdźmi, które wypadły z końskich podków, ja zaś w samochodzie nie miałem zapasowego koła, a jedynie zapasową dętkę. Do Kielc dojechaliśmy jednak szczęśliwie. Była to dla mnie pierwsza tak daleka trasa, poza tym bez znajomości miasta. Na miejscu chciano mnie czymś częstować, ja jednak wołałem jak najszybciej wracać do Krakowa (170 km), by zdążyć na lekcje do szkoły. Przyjechałem pod szkołę nieco spóźniony, bez książek, a na lekcji języka polskiego poczułem ból oczu i zasłoniłem je

rękami. Kiedy to zobaczyła pani profesor, podeszła do mnie, pytając, co się dzieje. Gdy wytłumaczyłem, chciała mnie zwolnić do domu, ja jednak odpowiedziałem, że choć nie mogę pisać, to choć będę słuchał. Ta moja postawa zyskała bardzo pozytywną ocenę pani profesor.

Innym razem polecono mi, bym samochodem, tym z demobilu, bo tylko takie wtedy były, zawiózł księdza biskupa Stanisław Rosponda, sufragana krakowskiego, do sióstr miłosierdzia (sióstr magdalenek) do Łagiewnik, obecnie dzielnicy Krakowa, na uroczystość ślubów wieczystych. Przyjechałem pod dom biskupa przy ulicy Kanoniczej i zadzwoniłem do drzwi. Biskup wyszedł, ja szarmancko otworzyłem drzwi samochodu, wsiedliśmy, a wtedy biskup, widząc za kierownicą młodego chłopca o dość mikrej posturze. Zapytał: „Czy ty dobrze jeździsz?”. Skonsternowany, nie wiedziałem, co odpowiedzieć, bo każda odpowiedź wydawała się wątpliwa. W czasie jazdy wyjaśniły się obawy mojego świątobliwego pasażera, gdy powiedział, że gdzieś, chyba we Włocławku, biskup zginął w wypadku samochodowym. My wszelako dojechaliliśmy szczęśliwie i później tenże biskup Rospond udzielał mi sakramentu bierzmowania w archikatedrze na Wawelu.

Pełniąc funkcję portiera w Częstochowskim Seminarium Duchownym w Krakowie, siłą rzeczy stawałem się niejako pośrednikiem między interesantami, w tym również tymi urzędowymi, a mieszkańcami. Odbierałem między innymi dostarczaną przez listonosza pocztę i przekazywałem ją do adresatów, w tym listy i paczki do kleryków, a przede wszystkim całą korespondencję do księdza rektora, którym w tym czasie był ks. dr Brunon Magott. Jako portier kilkakrotnie towarzyszyłem też, przede wszystkim jako tragarz bagażu, biskupowi częstochowskiemu dr. Teodorowi Kubinie w drodze do pokoju w Seminarium podczas jego wizytacji.

Do Seminarium przyjeżdżali też inni dostojnicy duchowni i świeccy. Za mojej tam bytności dwukrotnie Seminarium Częstochowskie odwiedził Jego Eminencja Książe Adam Kardynał Sapieha, Metropolita Krakowski, którego miałem zaszczyt prowadzić do Księdza Rektora. Bywał tu też arcybiskup Romuald Jałbrzykowski z Białegostoku, który pomieszkiwał w Seminarium Częstochowskim, gdy przyjeżdżał do Krakowa na leczenie.

OSOBLIWOŚCI MIASTA

Jak już wspomniałem, kiedy tylko przyjechałem na studia do Lublina, to od razu rzuciły mi się w oczy spore różnice w tutejszej infrastrukturze w po-

równaniu z Krakowem. Jedyną przewagą Lublina nad Krakowem był wówczas z pewnością fakt, że miał dwa uniwersytety. Miasto w tym czasie liczyło około 95 tysięcy mieszkańców. W zabudowie przeważały budynki niskokondygnacyjne, skąpo wyposażone w instalację gazową i wodociągową. Trudno było wtedy mówić o jakichś większych udogodnieniach w mieście, na przykład komunikacyjnych. W zimie spotykało się chłopów przyjeżdżających do Lublina w długich kożuchach i baranich czapach, a konie miały obok chomąt półokrągłe kabłąki połączone z dwoma dyszlami. Można powiedzieć, że ówczesny Lublin miał cechy małego miasta jakby kresowego, wschodniego w postawach i zachowaniu ludzi. Wielkomijski charakter miała tylko ulica Krakowskie Przedmieście i jej przecznice oraz ulica Narutowicza. Komunikacja miejska była ograniczona do dwóch linii autobusowych o numerach 1 i 4. Natomiast komunikacja kolejowa do innych miast, na przykład do Krakowa, to był zazwyczaj jeden pociąg na dobę, którym jechało się całą noc, czasem w zimnych wagonach.

Kiedy miałem wracać z domu rodzinnego do Lublina, szczególnie po świętach Bożego Narodzenia, to mama zwykle mówiła do mnie przed wyjazdem: „Współczuję ci, że musisz jechać na tę Ukrainę”. A mówiła to nie w znaczeniu jakiejś pejoratywnej oceny, ale z racji pewnego oddalenia, którego Ukraina była synonimem. To wszystko sprawiało, że początkowo czułem się w Lublinie trochę nieswojo, gdyż spotykałem tu wiele różnic w porównaniu z Krakowem. Owe różnice konotowałem w różnych sferach życia i zachowań, nawet w prostych, codziennych wypowiedziach, w akcentach i formie zdania. Moja gospodyni zwykła mówić na przykład: „Jutro musi być pogoda”, a tak sformułowane zdanie, jak i wiele innych podobnych budziły poczucie pewnej inności i odmienności, choć obiektywnie mówiąc, także mowa krakowska nie jest wolna od swoistych nieprawidłowości językowych i naleciałości gwarowych.

Mimo to obecność w środowisku studenckim niwelowało wszelkie takie różnice i osobliwości, integrowało młodzież i asymilowało ją nawet do spartańskich warunków życia. Należy jednak oczywiście dodać, że Lublin w tym czasie był diametralnie inny niż dzisiaj. Jego dawne dzielnice: Tatary, Rury Jezuickie czy Wrotków, dziś nowoczesne, wyglądały jak jakieś liche wioski na skrajach miasta.

SPECYFIKA KATOLICKIEGO UNIWERSYTETU LUBELSKIEGO

Sam uniwersytet jako uczelnia w okresie powojennym był czynnikiem integrującym i stymulującym studentów, profesorów i administrację. Gmach uniwersytetu jako czworoboczny budynek mieścił w swych ścianach wszystkie agendy uniwersyteckie. Tu były sale wykładowe, zakłady naukowe poszczególnych sekcji (później przez pewien czas nazywanych instytutami) i biblioteki zakładowe, w których młodzież się uczyła, gdyż praktycznie przez cały dzień przebywała w gmachu uniwersyteckim, co było spowodowane zarówno wykładami i innymi zajęciami uniwersyteckimi (np. ćwiczeniami), jak też całodziennym wyżywieniem w stołówce akademickiej.

Gmach uniwersytetu był dość okazały. Składał się z wysokiego parteru i dwóch kondygnacji, w których mieściły się niemal wszystkie agendy uniwersyteckie, a więc sale wykładowe, rektorat, dziekanaty, biura pomocy studenckiej, stołówka akademicka, a także znajdowały lokum inne agendy i instytucje, takie jak Teatr Akademicki, Chór Akademicki czy koła naukowe itp. Organizowano tu liczne wystawy, a także prelekcje osób zapraszanych z innych uczelni, w tym z Krakowa, z Warszawy czy z Torunia... Ruch intelektualny na uniwersytecie był naprawdę duży, co dawało możliwość nieustannego poszerzenia wiedzy. Z tych możliwości korzystali zresztą także studenci innych uczelni.

Jak już wspomniano, był to czas bardzo licznego napływu studentów na Uczelnię. Szczególnie oblegane były takie kierunki, jak filozofia, historia czy polonistyka. Na pierwsze lata studiów przyjmowano na nie, o czym też już wspomniano, nawet ponad 300 osób. Inne kierunki były mniej liczne, ale liczba ich studentów też przekraczała często 100 osób. W czasie przerw korytarze były zatem tak przepełnione, że niekiedy trzeba było się wręcz przeciskać. Dość częstym widokiem na korytarzach była jakaś potężna grupa studentów wraz z profesorem idąca na wykład do określonej sali. Przepełnieniu korytarzy sprzyjały również tablice ogłoszeniowe i spisy wykładów umieszczane przez poszczególne dziekanaty oraz informacje o przyjazdach profesorów spoza Lublina – przed tymi tablicami zawsze gromadziły się tłumy studentów, aby zapoznać się z ich treścią. To wszystko sprawiało, że ruch na korytarzach był doprawdy spory. Ponieważ wszystkie zajęcia poszczególnych kierunków studiów odbywały się w tym jednym gmachu uniwersyteckim, można powiedzieć, że wszyscy się znali przynajmniej z widzenia. Czynnikiem integrującym młodzież były zwłaszcza wspólne zajęcia – wykłady ks. prof. Józefa Kellera z etyki ogólnej i szczegółowej, prof.

Stefana Świeżawskiego z historii filozofii, prof. Jerzego Kalinowskiego z logiki i inne. Wykłady te odbywały się w auli, ta jednak, choć dość obszerna, z trudem mieściła słuchaczy – bywał taki tłok, że studenci siedzieli nie tylko na ciasno ustawionych krzesłach, na schodkach wiodących na scenę, ale nawet na parapetach okiennych. Mimo tych niedogodności młodzież nawiązywała towarzyskie relacje, a panowie to nawet szarmancko ustępowali miejsca paniom... To wszystko zbliżało młodzież i tworzyło trwałe przyjaźnie. Ówczesna młodzież, pochodząca z różnych regionów Polski, była dla siebie nad wyraz życzliwa i bliska, a nade wszystko żądna wiedzy. Pozwolę sobie przypomnieć, że moja wypowiedź dotyczy okresu zapisanego w tytule, czyli lat 1951-1956. W tym czasie profil studentów, jeśli chodzi o pochodzenie społeczne, wiek czy geograficznie miejsca urodzenia, był mocno zróżnicowany. Na KUL-u studiowało wówczas, jak już wspomniano, wiele osób pochodzenia ziemiańskiego czy hrabiowskiego. Przypomnę tu nazwiska niektórych z nich: Urszula Czartoryska, Konrad von Eberhardt, Henryk Grocholski, Hubert Krzyżanowski i jego brat Józef, Andrzej Malewski, Ireneusz Opacki, Stanisław Rostworowski, Majka Zamowska. Taką proveniencję mieli też niektórzy profesorowie: prof. Stanisław Łoś, Paweł Czartoryski, Stefan Świeżawski i inni. Katolicki Uniwersytet Lubelski – mimo ograniczeń i szykan administracyjnych ze strony władz PRL – w latach pięćdziesiątych XX wieku cieszył się tak wielkim napływem studentów z całej Polski jak nigdy dotąd. Przyjeżdżali na studia różni życiowi rozbitkowie, którym przypięto etykietkę „złego pochodzenia klasowego”, a więc mieli zamkniętą drogę na państwowe uczelnie, by – wedle władz – nie siali tam zamętu w głowach innych studentów.

STRUKTURA ORGANIZACYJNA UNIWERSYTETU I JEGO PROFESOROWIE

Strukturę Uniwersytetu w chwili mojego przyjścia na studia w roku akademickim 1951/52 tworzyło pięć wydziałów: Wydział Teologiczny, Wydział Prawa Kanonicznego, na którym wykładano po łacinie, Wydział Prawa i Nauk Społeczno-Ekonomicznych, który był w likwidacji – ostatnie lata studiów, Wydział Filozofii Chrześcijańskiej oraz Wydział Nauk Humanistycznych.

Na każdym wydziale pracowali profesorowie i młodszy pracownicy naukowcy. Zasadne wydaje się przywołanie nazwisk niektórych spośród nich, zwłaszcza tych, którzy kierowali tymi jednostkami w sensie administra-

cyjnym i naukowym. Mimo że zawsze lubiłem obserwować ludzi ze swojego otoczenia, w tym profesorów i wykładowców, nie jestem dziś w stanie wymienić nazwisk wszystkich ówczesnych wykładowców na Wydziale Teologii i Prawa Kanonicznego. Z Wydziału Teologii pamiętam ks. prof. Bolesława Radomskiego, dziekana, i ks. prof. Stanisława Stysia, prodziekana, a z Wydziału Prawa Kanonicznego – ks. prof. Pawła Pałkę, prof. Leszka Winowskiego i bp. prof. Walentego Wójcika z Sandomierza. Z Wydziału Prawa i Nauk Społeczno-Ekonomicznych w stanie likwidacji przychodzi mi na myśl prof. Leon Halban, prof. Aleksander Kunicki i prof. Czesław Strzeszewski. Z oczywistych względów pamiętam nazwiska profesorów ze swojego Wydziału Filozofii Chrześcijańskiej, a byli to: ks. prof. Józef Pastuszka (wówczas pełniący obowiązki rektora), prof. Stefan Swieżawski, ks. prof. Antoni Korcik, ks. prof. Stanisław Kamiński, o. prof. Mieczysław Albert Krąpiec, ks. prof. Mieczysław Dybowski, prof. Natalia Reuttowa, prof. Józef Reutt, ks. prof. Józef Iwanicki, ks. prof. Józef Keller, prof. Jerzy Kalinowski, dr Jerzy Strojnowski, ks. prof. Piotr Chojnacki, o. prof. Feliks Bednarski. Wydział Nauk Humanistycznych dzielił się wówczas na sekcje. Były to sekcje: Filologii polskiej, Filologii angielskiej, Filologii francuskiej, Filologii germańskiej, Filologii klasycznej oraz Historii, Historii Sztuki i Pedagogiki. Na Filologii polskiej pierwsze skrzypce grali: prof. Feliks Araszkiwicz, Czesław Zgorzelski, Irena Sławińska, Tadeusz Brajerski. Filologią angielską sprawnie kierował dojeżdżający z Krakowa prof. Przemysław Mroczkowski. Filologią francuską zarządzali prof. Kalikst Morawski i jego żona Ludmiła, a Filologią germańską w latach 1951-1952 – prof. Ryszard Ligacz z Katowic, później zaś bardzo zasłużony prof. dr Bernard Stephan z Wrocławia. Filologią klasyczną kierowały z wdziękiem dwie panie: prof. Leokadia Małunowiczówna i prof. Janina Niemirska-Pliszczyńska. Sekcją historii kierowali: prof. Andrzej Wojtkowski, prof. Aleksander Kossowski, ks. prof. M. Żywczyński i Jerzy Kłoczowski. Historią sztuki zarządzali: prof. Rajmund Gostkowski, prof. Piotr Bohdziewicz, prof. Marian Morełowski i prof. Antoni Maśliński, a Sekcją pedagogiczną – prof. Jan Dobrzański i prof. Stefan Kunowski.

Nie moja rzecz oceniać profesorów pod względem formalnym, natomiast mogę nieco przybliżyć osobowości niektórych z nich. W czasie moich studiów na KUL mieliśmy profesorów miejscowych i przyjezdnych. Ci, którzy uważani byli za miejscowych, nie zawsze pochodzili z Lublina, po prostu tu się osiedlili po wojnie, a przyjechali najczęściej ze Lwowa czy z Wilna – prof. Rajmund Gostkowski, prof. Antoni Maśliński, prof. Irena Sławińska, prof. Czesław Zgorzelski, prof. Leokadia Małunowiczówna i inni. Natomiast

ci dojeżdżający to najczęściej profesorowie uczelni z Krakowa, Warszawy, Poznania, Łodzi, Katowic, Tarnowa, Torunia, Wrocławia. Trzeba też przypomnieć, że po wojnie wykładali na KUL-u wybitni przedstawiciele nauki i literatury, żeby wymienić tu takich koryfeuszy jak: Ferdynand A. Ossendowski, Jan Parandowski, Marian Plezia, Juliusz Kleiner, który na KUL-u wydał książkę o Mickiewiczu, czy Tadeusz Milewski, językoznawca z Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Moimi wykładowcami w okresie studiów na KUL prócz miejscowych profesorów, takich jak wspomniani już J. Pastuszka, M.A. Krąpiec, S. Kamiński, A. Korcik, S. Kunowski, J. Dobrzański, Z. Papierkowski, J. Kalinowski, J. i. N. Reuttowie, byli też profesorowie dojeżdżający – z Poznania: ks. prof. Mieczysław Dybowski (psychologia eksperymentalna, psychologia woli) i doc. Mieczysława Mielczarska (psychologia rozwojowa wychowawcza), z Warszawy: ks. prof. Piotr Chojnacki, z Łodzi: prof. Natalia Han-Ilgiewicz i dr Helena Radomska-Strzemecka, z Krakowa: prof. Stefan Swieżawski (historia filozofii) i dr Jerzy Strojnowski (anatomia i fizjologia człowieka). Jako student słuchałem ich wykładów, zdawałem u nich egzaminy i pod ich kierunkiem (profesorstwo Natalia i Józef Reuttowie) napisałem pracę dyplomową. Cenię sobie wysoko ich profesjonalizm, życzliwość i empatię do człowieka.

Przywołując z pamięci okres swoich studiów w KUL, uważam ten czas za jeden z najpiękniejszych etapów w moim młodzięcym życiu, mimo bardzo skromnych warunków materialnych. Był to czas szerokiej aktywności, zdobywania wiedzy, i to szeroko pojętej, jak też poznawania ludzi, ich postaw i zwyczajów, ludzi z różnych stron Polski. Z rozrzewnieniem wspominam też swoją działalność artystyczną w Chórze Akademickim...

Czując potrzebę poznawania ludzi, zaszczerpioną mi przez moich profesorów, jak też wynikającą z własnych inklinacji, starałem się to czynić w każdej rozmowie z nowopoznanym kolegą czy koleżanką. Niejednokrotnie były to rozmowy oparte na przesłankach psychologicznych, dających szerszy ogląd drugiego człowieka. Jak już kilkakrotnie pisałem, Katolicki Uniwersytet Lubelski w tamtych czasach wpływał znacząco na integrację młodzieży poprzez swoją specyfikę. Tu wszyscy się znali, można też powiedzieć, że wyznawali podobne wartości, a po studiach, choć rozjechali się do różnych miejscowości, to tam też tworzą swoje grupy towarzyskie, a dotyczy to tak większych miast, takich jak Warszawa, Gdańsk, Kraków, Wrocław, Szczecin, jak też tych mniejszych, gdzie ludzie ci znają się, często spotykają, po prostu są sobie bliscy – bo są z KUL-u.

INFRASTRUKTURA UNIWERSYTETU

KUL w czasach moich na nim studiów sprawiał wrażenie pewnej twierdzy tak ze względu na sam budynek, jak też na przepisy prawne, ustanowione jeszcze w okresie międzywojennym, a dające uniwersytetowi pełną autonomię. Upoważniały one rektora uczelni do rozwiązywania wszelkich sporów studenckich bez interwencji z zewnątrz. Sam gmach uniwersytetu (dawny klasztor Dominikanów, a następnie koszary austriackie) to był wówczas budynek w kształcie czworoboku, dwupiętrowy, wewnątrz którego mieścił się duży prostokątny dziedziniec z rabatami kwiatów i krzewów (podobnie jak na uniwersytecie w Wiedniu). Wejście główne było tak duże jak Brama Krakowska. Z prawej i lewej strony usytuowano wejścia na piętro. W bramie po prawej stronie znajdowało się pomieszczenie dla portiera, zwanego tu pedlem. Dalej było wejście na obszerny dziedziniec. Na piętrze frontonu mieściły się dziekanaty oraz biura pomocy studentom, czyli Komisja Stypendialna. Dalej, już w nowej części gmachu, był długi korytarz z tablicami ogłoszeń, w tym spisem wykładów, oraz wejściami do sal wykładowych. Niemal każda sala miała swojego patrona, fundatora, o czym zazwyczaj informowała marmurowa tablica pamiątkowa z łacińską sentencją. Niektóre z nich zapisywałem kiedyś w zeszytach, ale tylko jedna z nich pozostała mi w pamięci: *In necessariis unitas – In dubiis libertas – In omnibus caritas* („W potrzebie jedność – w wątpliwościach wolność – we wszystkim miłość”). Sale wykładowe były różnej wielkości, a w każdej z nich znajdowała się oczywiście katedra dla profesora, krzesła dla studentów i piec kaflowy w kącie sali. Już o godzinie szóstej rano obsługa nosiła węgiel w metalowych kubłach i rozpałała ogień w piecach. Mimo to temperatura w salach była zazwyczaj dość niska. Profesorowie wykładali często w paltach narzuconych na plecy, podobnie jak słuchający ich studenci. Młodzież jednak znosiła ten chłód pogodnie i bez szemrania. Może dlatego, że u młodzieży fizjologicznie krążenie krwi jest szybsze, a więc wyższa jest też temperatura młodzieńczego ciała...

W pobliżu gmachu uniwersyteckiego po prawej stronie jego stronie stał murowany barak, a po lewej barak drewniany, który służył wówczas jako mały dom akademicki dla dziewcząt. Naprzeciw pobliskiego kościoła Akademickiego mieścił się jednopiętrowy konwikt dla księży studentów. Miasto Lublin w tym czasie kończyło się w zasadzie tuż za uniwersytetem, to znaczy kilkaset metrów za nim przy drodze na Warszawę był widoczny jeszcze kościół Garnizonowy, a kawałek dalej Liceum im. Stanisław Staszica, przy którym zlokalizowano początkowy czy końcowy przystanek autobusu nr 4,

kursującego na trasie od ulicy Godebskiego do ulicy Kunickiego w dzielnicy Dziesiąta.

Mimo swej dość skromnej infrastruktury uniwersytet w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku zyskał ogólnopolski charakter, znacznie zwiększając przy tym liczbę swoich studentów. Złożyły się na to różne czynniki. Działania władz państwowych i partyjnych PRL spowodowały, że ideowo nastawiona młodzież z całej Polski ciągnęła właśnie na KUL, gdyż na innych uczelniach nie miała szans na studiowanie. Decydowały o tym rozmaite względy, między innymi tak zwane złe pochodzenie społeczne, a zwłaszcza poglądy polityczne czy wartości religijne wyznawane tak przez młodych ludzi, jak i ich rodziców albo na przykład fakt przebywania kogoś z rodziny za granicą. Młodzież więc w tym czasie masowo zgłaszała się na studia oferowane przez KUL, który stał się dla niej istną ostoją. W odwecie za tę popularność katolickiej uczelni Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego (minister Eugenia Krassowska), widząc szybki przyrost liczby studentów, wprowadziła ograniczenia – limity przyjęć na poszczególne kierunki studiów w KUL. W związku z tym Episkopat Polski otoczył KUL wzmożoną opieką. Powstała Komisja ds. KUL, na której czele stanął Prymas Stefan Kardynał Wyszyński, ponieważ postrzegał KUL jako kuźnię katolickich kadr intelektualnych w Polsce. Na inaugurację roku akademickiego oprócz Księdza Prymasa, który zawsze był obecny, zapraszano też ambasadorów krajów zachodnich, a ci chętnie w tej uroczystości uczestniczyli, co powodowało, że tak zwana władza ludowa miała ograniczone możliwości blokowania funkcjonowania uniwersytetu.

Dopowiem jeszcze, że po latach (za rektoratu ks. prof. Stanisława Wielgusa) wróciłem na pewien czas na Uniwersytet jako wykładowca, prowadząc w Katedrze Psychologii Ogólnej zajęcia dydaktyczne (fakultatywne) dla III i IV roku psychologii dotyczące zaburzeń mowy u dzieci i młodzieży oraz ich leczenia. Potem prowadziłem też ćwiczenia i konwersatorium z psychologii rozwojowej.

ZAKOŃCZENIE

Na zakończenie chcę powiedzieć, że niniejsza wypowiedź jest tylko małym fragmentem wspomnień i refleksji o moim Uniwersytecie, któremu tak wiele zawdzięczam. Pomijam wiele negatywnych zdarzeń, drażliwych lub kontrowersyjnych, które występują w każdym ludzkim życiu. Z przekonaniem chcę potwierdzić, że Uniwersytet w czasach, gdy na nim studio-

wałem, mimo że działał w tak trudnych warunkach ideologicznych i politycznych, pozostał wierny swojej dewizie *Deo et Patriae* – „Bogu i Ojczyźnie”. Myślę, że jest to zasługa przede wszystkim roztropnych i mądrych władz uniwersyteckich z Jego Magnificencją rektorem – ks. prof. Józefem Iwanickim oraz prorektorem prof. Zdzisławem Papierkowskim na czele. Nie można też pominąć wielkich zasług dla uniwersytetu ks. prof. Antoniego Słomkowskiego, który jako rektor był odnowicielem uniwersytetu po wojnie.

Wreszcie, jak mówią Anglicy *last not least*, muszę powiedzieć, że zawsze kierowałem się zasadą wyniesioną z domu rodzinnego: *Omnis cum Deo nihil sine Eo*, czyli „Wszystko z Bogiem, nic bez Niego”. Mimo wielu trudności w życiu nigdy nie uważałem się za cierpiętnika, bo wielu miało podobne sytuacje życiowe. Były w życiu radości i smutki, które są udziałem każdego człowieka. Mimo to byłem świadom, że wszystko mogę zrobić i pokonać trudności w tym, który mnie umacnia (por. Flp 4,13).